

W dniach od 28 do 30 września br. obradowało w Łańcucie XXXVII Walne Zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Problematyka naukowa zjazdu dotyczyła wyłącznie województwa rzeszowskiego. W programie znalazły się odczyty: prof. dr Józefa Burszty „Podłoże historyczne kształtowania się kultury ludowej wschodniej Rzeszowszczyzny”, doc. Franciszka Kotuli „Typy budownictwa wiejskiego w Rzeszowskiem”, dr Olgi Gajkowej i mgr Jadwigi Kleczkowskiej „Problemy etnograficzne i folklorystyczne w nauczaniu języka polskiego” oraz kilka komunikatów naukowych (mgr Antoni Kunysz „Badania nad średniowiecznym osadnictwem Rzeszowszczyzny”, Jan Micał „Ludowe zespoły weselne w Łańcuckiem”, mgr Teresa Szetela „Lasowiackie piece malowane”, mgr Irena Klak „Współczesne garncarstwo ludowe w powiecie łańcuckim”, dr Władysław Balicki „Lecznictwo ludowe w rejonie łańcuckim” i „Zbiory etnograficzne z terenu łańcuckiego”), ponadto złożono informacje o pracach muzeów w Przemyślu, Sanoku, Rzeszowie i Jarosławiu. Materiały z konferencji naukowej zjazdu opublikowane w przyszłości przez PTL staną się cennym przyczynkiem do poznania kultury materialnej i duchowej wsi rzeszowskiej.

HISTORIA Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego zaczyna się z końcem ubiegłego stulecia. Powstało ono w roku 1895, w pięć lat po śmierci Oskara Kolberga — autora monumentalnego dzieła etnograficznego, pt. „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”. Ta kilkudziesięciotomowa praca, jak również sylwetka niestrudzonego zbieracza i uczonego, miały wpływ na większe niż dotychczas upowszechnienie się zainteresowań kulturą ludową. Wyłoniła się więc konieczność powołania towarzystwa naukowego, które skupiałoby ludoznawców, wytyczało główne kierunki badań i popularizowało osiągnięcia znajdujące się jeszcze w powiśnikach etnografii polskiej.

Od początku swego istnienia, Towarzystwo Ludoznawcze (przemianowane w roku 1947 na Polskie Towarzystwo Ludoznawcze) prowadziło ożywioną działalność naukowo-badawczą i wydawniczą. Wprawdzie zawierucha wojenna sparaliżowała tę pracę na kilka lat, ale już w 1945 roku w zmienionych warunkach społeczno-politycznych przystąpiło ono do organizacji życia naukowego na odcinku ludoznawstwa. Dynamika przemian dokonujących się w Polsce po zakończeniu II woj-

**TRZEBA
ZAKASAĆ
RĘKAWY**

ny światowej i mecenat państwa ludowego sprzyjają rozwojowi PTL. Na dorocznych konferencjach naukowych krystalizują się podstawy marksistowskiej metodologii wprowadzanej również do badań nad kulturą materialną i duchową wsi polskiej. Towarzystwo wznawia również wydawanie roczników „Ludu” (XXXV tom ukazał się jeszcze w 1939 roku) oraz „Prac i materiałów etnograficznych”. Do zupełnie nowych serii wydawniczych należą: „Prace etnologiczne”, „Ar-

chiwum etnograficzne” i „Biblioteka popularna”. Ponadto od roku 1957 ukazuje się dwumiesięcznik, poświęcony sprawom folkloru, pt. „Literatura ludowa”. Z inicjatywy PTL rozpoczęto prace nad „Polskim Atlasm Etnograficznym” i „Atlasem Polskich Strojów Ludowych” (do chwili obecnej ukazało się 26 zeszytów tego wydawnictwa). Z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego wydane zostaną „Dzieła wszystkie” Oskara Kolberga. Edycja ta obejmie najprawdopodobniej 66 tomów. Trudno wyliczyć wszystkie pozycje wydawnicze i doraźne badania terenowe, dokonywane pod auspicjami PTL. Jest ich bardzo dużo.

Towarzystwo to z roku na rok rozszerza swoje agendy. W okresie istnienia Polski Ludowej wzrosła nie tylko liczba członków (przed wojną było ich 100, a w roku 1959 już 856), ale również powstały nowe oddziały i to w ośrodkach niedłokrotnie małych, oddalonych od centrum życia naukowego. Wymownym przykładem może być chociażby Oddział łańcucki, który w tym roku jest gospodarzem XXXVII Walnego Zgromadzenia PTL. Powstał on przed dwoma laty z inicjatywy zaledwie kilku osób rozmiłowanych w bogatej kulturze ludowej tego rejonu Rzeszowszczyzny. Zgodnie z założeniami statutowymi, celem Towarzystwa jest szerzenie i pogłębianie wiedzy o rozwoju kultury ludowej, prowadzenie badań etnograficznych i pokrewnych nad ludem polskim i innymi, rozpowszechnianie i popularyzowanie wyników tych badań” podjęto pracę nad zorganizowaniem społecznego muzeum regionalnego, do którego eksponaty od dawna gromadził entuzjasta sztuki ludowej dr Władysław Balicki. Przekazane miastu prywatne jego zbiory staną się ważnym ekspozycji muzealnej. Jan Micał jeden ze współorganizatorów łańcuckiego Oddziału PTL jest zbieraczem folkloru z tego terenu, a szczególnie pieśni obrzędowych i weselnych. Jadwiga Kotz przeprowadza fotograficzną inwentaryzację dawnego budownictwa wiejskiego, a prezes Oddziału mgr Jadwiga Kleczkowska stara się przez szkołę popularyzować i pielęgnować relikty zanikającej kultury ludowej. W pracę tę angażuje się coraz więcej osób, co świadczy o dużej żywotności Oddziału i jego zdrowych ambicjach.

Łańcuckiej inicjatywie należy przyklasnąć. Od dawna bowiem rysuje się konieczność pełnego zbadania kultury ludowej nie tylko w powiecie łańcuckim, ale na całym obszarze leżącym dzisiaj w granicach województwa rzeszowskiego. Dyktują ją nie tylko względy naukowe, lecz w równym stopniu praktyczne. Nie można bowiem stwarzać nowych wartości kulturowych nie licząc się z wielowiekową tradycją. Mądra polityka kulturalna, to m. in. umiejętność wydobycia z przeszłości tego co ma trwać wartości, co tłumaczy sens przemian dokonujących się współcześnie. A jeśli tak, to troska o możliwość wszechstronne przebadanie ludowej kultury materialnej i duchowej powinna być udziałem nie tylko zawodowych etnografów, ale całego społeczeństwa. Profesor Julian Krzyżanowski pisząc w 1957 roku artykuł pt. „O pięknych tradycjach rzeszowskich” zakończył go w bardzo znamiennej formie: „W reżymie więc, ze stanowiska tutaj zajmowanego, widzimy przed sobą wdzięczne pole do pracy bardzo różnorodnej, ciekawej i rękawiczką piękne wyniki. Należy tylko zakasać rękawy i brać się do roboty”. Po pięciu latach, które wcale nie należą do bezpłodnych, apel ten można powtórzyć. Widzimy przed sobą wdzięczne pole do pracy...

CZESŁAW KŁAK

* Literatura Ludowa, 1957 Nr 3, s. 8



ŚWIATŁA i CIENIE

Fot. Józef Lięza

EUGENIA CZADO

W poszukiwaniu źródeł łańcuckiej kultury

Poznanie kultury umysłowej ludności powiatu łańcuckiego zarówno w przeszłości jak i dziś, kiedy Oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego zaczyna tu swoją działalność, powinno stać się jednym z jego głównych zadań. Musi bowiem zastanawiać, co kształtowało łańcucką obyczajowość, co było przyczyną powstania tak wielu talentów pisarskich wśród chłopów.

Nie ma chyba drugiego powiatu w Polsce, który wydałby tylu pisarzy ludowych. Jan Rak — poeta z Husowa (1820—1909), Franciszek Magrys — działacz, publicysta i pamiętnikarz z Handzlówki (1846—1934), Antoni Balawejder (pseudonim Wojtek Trąba) — gawędziarz z Markowej (1909—1935), Mieczysław Flejszar — poeta z Markowej (zm. w 1944 r.), Walenty Kunysz — zbieracz przysłów i pieśni z Kraczkowej, Jan Stryczek i Roman Turek — pamiętnikarze z Woli Dalszej, to pisarze, których utwory w większości wydrukowano w Polsce Ludowej. Ale ile wierszy i medytacji na różne tematy zapisanych lub utraconych tylko w pamięci nie oddano do druku? Wspomnę chociażby nazwisko S. Kluzę z Krzemienicy, W. Kisały z Kraczkowej czy A. Gużę z Brzozy Stadnickiej.

Zresztą nie tylko poetów i pamiętnikarzy wydała ziemia łańcucka. Ze wsi i z Łańcuta wywodzi się kilku naukowców i publicystów zajmujących w życiu społecznym

Polski poczesne miejsce. Z Husowa wywodzi się prof. dr Wincenty Styś (1903—1980) znany ekonomista, z Albigoj wybitny historyk prof. dr Stefan Ingłot, z Woli Dalszej Mieczysław Grad, naczelny redaktor „Zielonego Sztandaru”, z Białobrzegów Jan Bester, satyryk i felietonista „Nowej Wsi”, w Instytucie Badań Literackich pracuje dr Antoni Bartoszyński, syn Michałiny Bartoszyńskiej, zasłużonej nestorki łańcuckiego teatru, z Łańcuta wywodzi się również zmarły przed rokiem powieściopisarz Józef Bieniasz, z podłańcuckich wsi pochodzi dwaj archeolodzy Muzeum Okręgowego w Rzeszowie mgr Antoni Kunysz z Kraczkowej i mgr Kazimierz Moskwa z Woli Małej.

A więc co wpłynęło na takie ożywienie umysłowe? Szkoły, czytelnictwo? A może tylko tegie głowy?

Nie! Same tegie głowy nie wystarczyły. Gdy pańszczyźniany chłop i poeta Jan Rak rzeźbił w Husowie fajki i pisał wiersze, szkoła na wsi łańcuckiej prawie nie istniała. Był on samoukiem. Podobną edukację przeszedł w Handzlówce ksiądz z miedzy Franciszek Magrys. Poza Magrysem nikt w Handzlówce nie umiał pisać. Czytanie było bardziej rozpowszechnione. Dopiero po nastaniu autonomii w Galicji również łańcuckie gminy ruszyły do zakładania szkółek ludowych przeważnie jednoklasowych.

Sieć szkół ludowych zagęszczała się, choć społeczny i zawodowy ruch nauczycielski nie wyróżniał się wówczas niczym w porównaniu z innymi powiatami, poza dość wczesnym założeniem w Łańcucie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Oddziału Towarzystwa Pedagogicznego. Ale mimo to Wincenty Badura pisząc w „Przewodniku Oświatowym” w roku 1908 artykuł pt. „Ludność polska pow. łańcuckiego i przeworskiego pod względem oświatowym i kulturalnym”, stwierdza, że „okręg łańcucki należy obecnie do tych niewielu w Galicji, gdzie nie ma ani jednej gminy bez szkoły, a w kilku-nastu jest po dwie” (s. 9)

Nielatwa była praca ówczesnej szkoły pod okiem austriackiego zarządcy i nieuczelnego ludowego rodzimego ziemiańsko-klerykalnego ugrupowania stańczyków. Ale w ciągu około 40 lat nauczyła ona znaczną część dzieci czytać i pisać. Rok 1905/6 zamyka Badura liczbą przeciętną 50 analfabetów na 100 mieszkańców powiatu liczącego łącznie z obecnym powiatem leżajskim i przeworskim) 92.691 mieszkańców, co na ówczesne stosunki było znacznym krokiem naprzód w porównaniu z okresem wyjściowym (lata ok. 1868—1870) kiedy analfabetyzm był prawie powszechny. Nie gorszy się. W roku 1949 u progu rozpoczęcia ostatecznej walki z analfabetyzmem, a więc znów po około 40 latach, w powiecie było jeszcze 2000 niepiśmiennych, mimo że od 1907 roku zaczęło swoją pracę w Łańcucie

(Ciąg dalszy na str. 2)

W kręgu malarstwa Izabelli Wicińskiej

W Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie otwarto w bieżącym miesiącu wystawę malarstwa i rysunku Izabelli Wicińskiej.

Izabella Wicińska jest aktorką teatru „Rozmaitości” w Krakowie. Po ukończeniu studiów teatralnych, poświęciła się pracy aktorskiej, będąc równocześnie bardzo twórczą malarką. Brała udział w kilku wystawach okręgowych w Krakowie, w wystawie „Polskie Dzieło Plastyczne w 15-lecie PRL” w Warszawie w 1961 r. „I Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego” w Szczecinie w 1962 r.

Wśród eksponowanych na obecnej wystawie prac znajduje się wiele obrazów poświęconych sprawom teatru.

Rysunki i gwasze, to przeważnie portrety aktorów o ich scenicznych wcieleniach. Wrażliwą kreską wydobywa artystka charakterystyczne cechy portretowanych osób, ujmując syntezą ich osobowości, dominującą rolę wyznaczającą psychologicznej treści portretu. Buduje formę konturem, tak, aby zasugerować jej żywą, trójwymiarową pełnię.

Cykł obrazów, będących swego rodzaju plastycznym wyrazem sztuki teatralnej, jej „klimatu” i nastroju, jest szczególnie interesujący.

Sceny z „Chaty wuja Toma”, czy „Matki Courage”, są w ujęciu artystki syntezą rozgrywającego się dramatu, skrótem myślowym, obliczonym na plastyczny kształt.

Artystkę interesuje ruch, akcja i gest przedstawianych postaci, nastrój zdarzenia.

Specyficzna atmosfera, dramatyczność wywołana układem rytmów i napięciem plastycznym, są chyba najistotniejszymi cechami tych obrazów.

Srodki malarskie służą tu do wywołania określonego nastroju, choć przedmiot nie traci swej ważności, tak samo, jak nie traci swego znaczenia otaczająca przestrzeń, światło i powietrze.

W liceum reprezentowanych na wystawie pejzażach, malowanych emocjonalnie i wrażeniowo, odnajdujemy nastrój, odnajdujemy jakieś spycenie się urokiem świata, widzianego w intymnym skupieniu.

Malarstwo Izabelli Wicińskiej wydaje mi się bardzo szczere. Prace znajdujące się na wystawie, reprezentują w jakiś sposób postawę twórczą artystki. Prawda i szczerść jej plastycznego wypowiedzenia się, nawarstwienie oraz siła przeżycia, stwarzają pomost pomiędzy jej twórczością a odbiorcą.

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK

W poszukiwaniu źródeł łańcuckiej kultury

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wyglądane przez samych chłopów w ramach prac samokształceniowych. W samym Łańcucie inicjatywę dr Kazimierza Kralczyńskiego założyła Biblioteka „Mrówka” podjęła Zofia Szedywy organizując wypożyczalnię książek dla dzieci i młodzieży. Inni działacze zakładają bibliotekę TSL. Obie biblioteki połączyły się z czasem w jedną całość. Do roku 1939 TSL wypożyczało komplety książek poszczególnym wsiom.

Ale nie o historii bibliotek tu chodzi. Tradycje dawnych bibliotek oświatowych podjęła Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, która po 16 latach pracy liczy 80.000 książek łącznie z 19 bibliotekami gromadzkimi i wiejskimi oraz 34 punktami bibliotecznymi. Czytelnicy tych bibliotek, którzy stanowią 17 proc. ludności wsi i 25 proc. ludności miasta, wypożyczyli w tym czasie blisko 2 miliony książek. Chodzi więc o wykrycie związków pomiędzy czytelnictwem i oświatą a inwencją twórczą artystów ludowych, i nawykami kulturalnymi ludności. Bo przecież trudno sobie wyobrazić pracę Oddziału Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w oderwaniu od współczesności.

Aby nie groziło ziemi łańcuckiej „widmo z ciupaga” i towarzyszące mu objawy regionalizmu, zasklepienie w zbieractwie eksponatów, tekstów dawnych weseł i dokumentów tutejszej gwary, niezbędne dla PTL staje się zbadanie i poznanie współczesnego stanu kulturalnego powiatu łańcuckiego. Kultury nie można mierzyć tylko ilością występów zespołów artystycznych na akademiach i ilością sal przeznaczonych na świetlice. „Inwentaryzacja” życia kulturalnego nie może pomijać m. in. niepokojącego a nagminnego zjawiska malowania wnętrz domów ludowych przez domorosłych malarzy, w najfantastyczniejsze róże i girlandy wijące się wokół kolumn wszystkich stylów architektonicznych wszystkich epok, zjawiska zamknięcia młodzieży wsi i miasta, która nie śpiewa, zjawiska kompletnej niemal ignorancji poezji w naszych bibliotekach.

Zbadanie stanu kultury konsumowanej przez ludność i udziału tej ludności w wytwarzaniu współczesnej kultury ogólnonarodowej powinno dopomóc Oddziałowi w wytyczeniu drugiego toru działania „twarzą ku współczesności”. Z jednej strony godne wielkiej pochwały i poparcia zbieranie i przechowywanie dokumentów dawnej kultury tzw. ludowej, z drugiej pełne zaangażowanie się Oddziału w procesie wrastania łańcuckiej wsi w kulturę ogólnonarodową. Ta dwutorowość pracy miłośników regionu dopomocze niewątpliwie w wykryciu związków pomiędzy bogatymi dokumentami kultury dawnych czasów a

jej inspiratorami w postaci szkoły, bibliotek, towarzystw, organizacji społecznych czy jeszcze innych źródeł i tworzycy, co również powinno mieć pełne zastosowanie w obecnej sytuacji kulturalnej na ziemi łańcuckiej. Wzbogacenie treści i form pracy Oddziału PTL o elementy wynikające z aktualnych potrzeb kulturalnych powiatu łańcuckiego pozwoli mu realnie startować i włączyć się w pełni w nurt życia kulturalnego zarówno od strony oświatowej jak i naukowej.

Eugenia Czado



Na ulicy

Fot. Józef Ligęza

SZERSZA dyskusja teatralna potrzebna jest nam wszystkim. Nie tylko aktorom, ale także nam — widzom, którzy po obejrzeniu spektaklu i oceniu go według własnych, jakże niepełnych kryteriów, mamy jedyną tylko możliwość porównania naszego osądu z innym — przez czytanie recenzji prasowej. To trochę mało. Chciałoby się dowiedzieć czegoś więcej o życiu i pracy teatru, o planach i zamysłach reżyserów, aktorów, o tym co chcieliby wypowiedzieć w konkretnym spektaklu czy roli. Niestety, informacja o teatrze jest u nas jeszcze bardzo skąpa (mam tu na myśli i prasę, i programy teatralne), a analizy działalności teatru, wykraczające poza ramy sprawozdań czy recenzji z poszczególnych przedstawień nie ma zupełnie.

Dlatego propozycja dyskusji o teatrze wysunięta w 36 numerze „Widnokragu” wydaje mi się bardzo cenna, tym bardziej, że występuje z nią aktor, poruszający problemy nurtujące zapewne nie tylko jego samego, ale także — w mniejszym lub większym stopniu — jego kolegów z zespołu. Chciałbym, jako widz, włączyć się do tej dyskusji i przedstawić swój subiektywny pogląd na jedno z zagadnień (na więcej chyba zabraknie mi miejsca), które poruszył w swoim artykule p. Zawirski, a mianowicie na problem aktora w Rzeszowie.

Pan Zawirski widzi sytuację aktora w naszym teatrze, w bardzo czarnych kolorach i winę za to przypisuje głównie... widzowi. Widz ten jego zdaniem jest bardzo różnorodny, wymagania ma najrozmaitsze i to właśnie jest powodem, że... „Pracuje teatr rzeszowski w błędnym kole narzekań, a aktorzy mając dość jałowej tułaczki po Rzeszowszczyźnie, idą szukać uznania u innej publiczności. Często nie uznani u nas, gdzie indziej zdobywają laury, fortunę, robią tzw. karierę. Czemu tak się dzieje?”

I tutaj autor podaje jako przyczynę fakt, że aktorzy nasi muszą grać w wielu rolach, gatunkowo bardzo od siebie różnych i to właśnie powoduje niepowodzenia, potknięcia, a co za tym idzie — krytykę ze strony widza czy recenzenta.

Zdziwiłem się mocno, czytając ten fragment artykułu, gdyż w moim przekonaniu największą szansą, którą nasz teatr daje aktorowi, jest właśnie to, że pozwala mu grać dużo i bardzo różnorodnie role. Być może, że nie ma on u nas takich możliwości i atmosfery, w których mógł

tylwe spojrzenie na samego siebie. To jest bardzo trudne; jeśli się nie posiada tych cech, trzeba mieć wyjątkowo zdolnych i przychylnych wychowawców. Dlatego właśnie choć ośobiście żałuję kilku aktorów, którzy opuścili Rzeszów, to sądzę, że dla nich samych, dla ich talentu dobrze się stało, że odeszli.

Ale skoro już jestem przy „emigracji”, to muszę poddać w wątpliwość twierdzenie p. Zawirskiego, że powodem wyjazdu aktorów z Rzeszowa jest nieznanie ich przez publiczność. Zarówno Sabara, Wójcik, Stoor, Szmigieliówna, Sochnacki, Fryzlewicz, Nocoń, Millnerowicz, to nie byli aktorzy nieznanymi. Publiczność lubiła ich, wiązała z nimi pewne nadzieje, żałowała, że odeszli. A odeszli po prostu dlatego, że woleli Warszawę czy Kraków od Rzeszowa, że otrzymali lepszą propozycję, że... Zresztą p. Zawirski z pewnością lepiej ode mnie zna wewnętrzne sprawy teatru i doskonale zdaje sobie sprawę z tego dlaczego, kto odchodził. „Nieuznanie” było chyba jednym z ostatnich powodów.

To jest jednak wreszcie tylko przechodzenie z teatru do teatru. A co powie p. Zawirski na przejście Z. Kozlenia, czy ostatnio — jak wynika z afiszów — Lidii Maksymowicz do „Estrady”? Czy to także przyczyną była „jałowa tułaczka” i brak uznania? Nie czarujmy się!

A w ogóle moi kochani, czy nie przydałoby się trochę więcej skromności? Jakże byście chcieli, byśmy po dwóch czy trzech latach wstępu u nas bytności chodzili do teatru na was, tak jak chodzi się w Warszawie na Waszczerowicza, Eichlerównę, Kurnakowicz, Swiderskię, Cenię, was za to, że zaszczyliście sobą ten rzeszowski grajdołek, ale poczekajcie trochę i wysilicie się nieco, by zdobyć nasze serca. Nie mogę mówić o wszystkich, ale jeśli ktoś wycisnie mi z oka na rzeszowski spektakl iże wzruszenia czy radości (a nie rozpaczy!) tak jak to udawało się wyżej wymienionym — schyłł mi się kornie do nóg.

Teatr nasz ma za sobą niejedną udaną spektakl, niejedno osiągnięcie, którym się można wszędzie pochwalić. Jeśli trochę narzekamy, to dlatego, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. A moim zdaniem nasz zespół stać na zgotowanie publiczności niejednej uczy teatralnej.

Oczywiście, nie wystarczą wysiłki samych aktorów. Jak tylko pamiętam, na brak dobrego materiału aktorskiego teatr nasz skarżył się nie mógł i nie może. Na pewno byłoby lepiej, gdyby aktorów było więcej, ale i ci, których mamy nie zawsze jeszcze są najlepiej wykorzystani. Nad aktorem, zwłaszcza młodym aktorem, trzeba usilnie pracować, a z tym to bywa różnie. W latach ubiegłych mieliśmy w teatrze kierowników, którzy byli doskonałymi dyrektorami, organizatorami, dobrymi reżyserami czy nawet aktorami. Ale chyba od czasów Siemaszkowej nie było wśród nich ludzi o zacięciu pedagogicznym, takim jakie cechuje np. Skuszankę czy Dejmka (że sięgnę po tak skrajne przykłady). A to — wydaje mi się — jest nam bardzo potrzebne.

Nie jestem fantazją, ale myślę, że teatr nasz ma jeszcze wiele nie wykorzystanych możliwości. Może nasza dyskusja w jakimś stopniu pozwoli je ujawnić. Dlatego wtrącam do niej swoje trzy grosze. Mam nadzieję, że jeżeli to co napisałem, ukaże się w „Widnokragu”, nikt nie obrazi się, nie poda do dymisji, jak to zrobiono w pewnym teatrze na północy kraju, gdzie po nieprzychylniej recenzji dyrektor złożył wypowiedzenie. Liczne delegacje poniosły skargi do różnych władz i instytucji, a aktorzy przestali odkłaniać się sprawozdawcy. Mnie to zresztą nie grozi, bo nikogo z teatru im. Wandy Siemaszkowej ośobiście nie znam, bolałoby mnie jednak, gdyby ktoś posądził mnie o złośliwość, tym bardziej że teatru tego jestem gorliwym miłośnikiem.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

wszystkiemu winien... widz?

by doskonałi swój kunszt aktorski jakie znalazłby w Teatrze Polskim, czy Współczesnym w Warszawie, w Nowej Hucie, czy niektórych teatrach Krakowa, (myślę tutaj o reżyserach, pod których kierunkiem wypadłoby mu pracować, znakomitościach sceny, z którymi by występował, o całych zespołach stwarzających warunki sprzyjające rozwojowi zdolności i podnoszeniu kwalifikacji młodego artysty). Ale z drugiej strony porównajmy możliwości startu takiego aktora w Warszawie z możliwościami jego rzeszowskiego kolegi! Nie wiem jak jest dziś, ale jeszcze niedawno z wyjątkiem teatru „Ateneum”, występ np. absolwenta PWST w większej, poważniejszej roli należał w Warszawie do rzadkości. Musiał przedtem „poterminować”. Mam więc po ważne wątpliwości by w takiej sytuacji czekał „na rolę dla siebie” i takie tylko przyjmował „bo inne mogą zaszkodzić jego aktorskiej opinii.” Myślę, że takie sytuacje są przywilejem bardzo nielicznych i to wybitnych aktorów.

Tymczasem w Rzeszowie, jak rzadko gdzie, aktor ma szansę wypróbowania sił w różnych dużych rolach i chyba znów tak bardzo nie gwałci się jego indywidualności. Jeśli nawet w jednej mu się nie powiedzie, to zawsze ma możliwość zbliżyć się do kilku innych i to trzeba zaliczyć chyba na plus naszego teatru. Nie mogę uwierzyć, by tyle premier, tyle ról nie dawało absolutnie żadnych szans. Sądzę, że przy czyn niepowodzeń szukać należy gdzie indziej.

Dziewięć czy dziesięć lat temu teatr nasz dostał silny zastrzyk aktorski — grupę młodych absolwentów szkół teatralnych. Pierwsze spektakle grali doskonale, jak w natchnieniu. Publiczność była zachwycona i zdawało się, że nareszcie teatr nasz „wypłynął na szerokie wody”. Młodzi ludzie wkładali wiele wysiłku w przygotowanie ról i na scenie dawali z siebie wszystko.

Kiedy po pewnym czasie zobaczyłem tych samych aktorów w „Fircyku w załotach”, byłem przerażony i nie wierzyłem własnym oczom. W poprzednich przedstawieniach było dobre aktorstwo, ale aktorstwo podporządkowane woli reżysera. W „Fircyku” zaś była szarża, zgrywanie się, gra pod publiczność. Niestety, później powtarzało się to niejednokrotnie. I nie dziwnego, że w prasie zdarzały się gromy, a my — publiczność głosowaliśmy po swojemu: nogami. Młodzi ludzie po pierwszych powodzeniach lykneli za dużo wody sodowej i zmanierowali się. Podobne zjawiska w nie tak masowej skali powtarzały się od tamtego czasu niejednokrotnie. I tutaj chyba leży jedna z przyczyn „niepowodzeń”.

Blizsza obserwacja nasuwa wniosek, że i u nas młody aktor może mieć powody do zadowolenia z siebie, ale pod warunkiem, że poza talentem cechować go będzie konsekwencja, pracowitość, dyscyplina wewnętrzna, odporność na kawiarskie plotki i podszepty usługanych bliźnich, a zarazem surowe obiek-

Zenon Z. Inżynier

Z Mirą Zimińską - Sygietyńską o „rzeszowskich” planach „Mazowsza”

W ubiegłym tygodniu dyrekcja Muzeum Okręgowego w Rzeszowie gościła p. Mirę Zimińską - Sygietyńską, dyrektora Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Korzystając z tej okazji, przeprowadziliśmy rozmowę z Mirą Sygietyńską, zaczynając oczywiście od stereotypowego pytania:

— Co porabia Pani w naszym województwie?

— Przebywam w Iwoniecu, w sanatorium „Excelsior”. Iwoniec to świetne miejsce kuracyjne. Ongiś byłam tu z Sygietyńskim...

— Czy tylko w Iwoniecu?

— Jestem też, po raz trzeci, w Rzeszowie. Wasze miasto pięknie się rozbudowuje. Całą Rzeszowszczyznę znamionuje duża żywotność. Zwiedzałam Łańcut, Duklę, Odrzykoń, Sanok. W tych wędrow-

prezentacyjne dla danego terenu, zapraszamy jedną czy dwie pary do Karolina, by uczyli nasz zespół na miejscu. Przez dłuższy czas, na tych właśnie zasadach, gościliśmy w Karolinie Górala z góralskimi tańcami.

— Kto projektuje stroje dla „Mazowsza”?

— Z reguły kostium projektuje się na miejscu. Ja obmyślam całość, by odpowiadała autentycznemu strojowi ludowemu z danej części kraju, a równocześnie by była sceniczna, grała harmonijnym zestawieniem kolorów. I co bardzo ważne, by całość była mocna, wytrzymała ową burzę ruchów, jaką wykonują tancerze i wielkie podroże, które odbywa zespół.

— Co więc ujrzymy w „rzeszowskim” numerze z dziedziny stroju?

nie z planami, nowy sezon rozpoczniemy inauguracyjnym występem podczas uroczystości obchodu 45 Rocznicy Rewolucji Październikowej w Warszawie. Następnie udajemy się na Warmię i Mazury, a potem chcielibyśmy odwiedzić Rzeszów.

— Nie wątpię, że wszystkie zainteresowane czynniki staną na wysokości zadania, i że będziemy mogli ponownie oglądać „Mazowsze” w Rzeszowie. Czy dla Warmii i Mazur także macie specjalny repertuar?

— Mamy numer warmińsko-mazurski. „Mazowsze” posiada opracowanych 18 regionów Polski. Posiadamy całą szczegółową mapkę tych regionów. To nasz obyczaj śpiewać i tańczyć nie tylko repertuar poszczególnego regionu, ale i każdego kraju, do którego przybywamy na występy. W Japonii śpiewaliśmy japońskie piosenki; w Anglii, gdzie występowałam niedawno przez 6 tygodni (z tego 3 tygodnie w Szkocji) z ogromnym powodzeniem, śpiewaliśmy piosenki angielskie. Na wiosenne tournée do Włoch, Szwajcarii, a następnie Ameryki, też przygotujemy „obcojęzyczne” wstawki.

— Jesteście wobec tego wszechstronni. Słyszałam również o publikacjach, których autorami są członkowie „Mazowsza”?

— Musi Pani koniecznie przeczytać nasze książki: „Mazowsze tańczy i śpiewa” Tadeusza Kruka, (który od małego dziecka występuje w „Mazowszu”) i Alojzego Srogi, a także książkę „Z Mazowszem po krajach Azji” Jerzego Dubrowskiego nadwornego medyka „Mazowsza”.

— Na zakończenie pytanie, które niewątpliwie zadają kobiety nie tylko w 18 opracowanych przez „Mazowsze” regionach. Jak się to dzieje, że jest Pani zawsze młoda, pełna życia i niezrównanej energii?

— Muszę. Po prostu — muszę być pełna życia, w tak ciężkiej i odpowiedzialnej pracy nie mogę sobie pozwolić na chwilę zmęczenia. Cały zespół pracuje ciężko i pięknie. Staram się zawsze dawać 90-osiobowemu kolektywowi przykład obojętności i punktualności.

Gdy raz — a był to wypadek sporadyczny — spóźniłam się do autobusu, który wioził nas na występ, natychmiast zapłaciłam karę, jaka obo wiązuje w „Mazowszu” wszystkich w wypadku niepunktualności.

— Nie została nam wprowadzić wyjaśniona tajemnica owego czarującego „Uśmiechu Warszawy” jak w stolicy nazywają Panią Mirę, ale to widocznie jest nie do objaśnienia. Natomiast owa punktualność każdemu nam się spodobać, iż Rzeszowszczyzna gościć będzie „Mazowsze” w przewidzianym terminie?

— Przyjeździemy — Do zobaczenia!

Rozmawiała C. BŁONSKA



W Muzeum = rozmowa na „rzeszowskie” tematy. Foto. A. HADAŁA

kach towarzyszy mi baletmistrz zespołu Witold Zapała i nasz kierownik działu reklamy i propagandy Stanisława Rybczyńska. Stwierdzamy, że Rzeszowszczyzna to piękny kawał naszego kraju.

— Z Pani bytności w Rzeszowszczyźnie oczekiwać możemy trwałych śladów w programie „Mazowsza”?

— „Mazowsze” posiada w swym programie rzeszowski numer. Pragnęlibyśmy go nieco ulepszyć, zmienić tańce, stroje. Chciałabym, by Wasz nowy region miał jak najlepsze opracowanie. Oglądaliśmy zespół z Krosna na imprezie „Górnicy — Warszawa”. To zespół dobry i przyjemny, z dużym nerwem. Podczas zjazdu Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Łańcutcie zechcę również oglądać występy zespołów regionalnych. Ze zrozumiałych względów ta część zjazdu PTL szczególnie mnie interesuje. Gdy widzimy zespół specjalnie udany i ciekawy, a przede wszystkim produkujący tańce istotnie re-

— Myślę o owych przeźroczystrych, najśliczniejszych białych fartuszkach, o najpiękniejszych haftach, o kolorowych spódnicach z tasiemkami, o wielu innych rzeszowskich szczegółach, z których przy ostatecznym opracowaniu wynika prawdziwe „piękno”, roboty, trudów, przy miarek...

— A skąd melodie i przyspiewki?

— Zawsze czerpiemy je z żywego zespołu, zawsze z autentycznego źródła. Oczywiście prowadzi się pewne konfrontacje ze zbiorami Instytutu Sztuki; podstawę programu wokalnego stanowi żywa pieśń regionu.

— Pytanie najważniejsze: kiedy ujrzymy „Mazowsze” w Rzeszowie?

— Nasza ostateczna decyzja jak i ustalenie ewentualnego terminu, w dużej mierze zależy będzie od tego, jak rzeszowskie czynniki kulturalne pomogą nam w przygotowaniach, w zorganizowaniu sali, zaplecza, jak przedstawiałyby się tzw. widzialność w pomieszczeniu przeznaczonym na nasze występy. Zgod-

II PRAJD POLSKI GENERALA WERSZYHORY

Celem marszu zgrupowania Werszyhory po opuszczeniu Brusna był południowo-zachodni skraj Puszczy Różanieckiej. Łącząca się z lasami solskimi, zamojskimi i janowskimi była ona doskonałą naturalną bazą partyzancką. Tutaj Werszyhory postanowił zatrzymać się do nadejścia batalionu Piotra Brajki, wysłanego na akcję dywersyjną w rejon Brodów. Należało także zbadać sytuację na miejscu, zdezorganizować trochę transport kolejowy w okolicy, porozumieć się z miejscowymi partyzantami oraz opracować plan dalszego pochodu.

Po nocnej walce w Lublińcu zgrupowanie osiągnęło Borowiec i Rudę Różaniecką. Okolice te utkwiały partyzantom w pamięci, gdyż po wypadzie nad San w rejon Ulanowa i Stalowej Woli powrócą tu jeszcze raz, tocząc ostre walki z hitlerowcami. Tymczasem tkwiąc na skraju lasów, a Werszyhory rozsyła na wszystkie strony zwiad i oddziały dywersyjne.

Wylatują w powietrze mosty na Tanwi, Sopocie i innych okolicznych rzeczkach, wybuchają miny

na torach kolejowych linii Rawa Ruska — Zamość, Rawa Ruska — Jarosław, Luów — Przemyśl, Rozwadów — Przeworsk. Grupa lejtnanta Lenkina wysadza w powietrze pociąg zdążający z Lubaczowa do Horyńca. Dzień wcześniej oddział minerów kpt. Kalnickiego opanołuje stację w Horyńcu, demolując jej urządzenia i wysadzając minami pełen wojska pociąg wjeżdżający akurat na stację. Tuż przed tym 16. II batalion Kulbaki przepędza Niemców z Tarnogrodu (woj. lubelskie) i 3 dni kwateruje w miasteczku. Do zgrupowania dołącza kilka działających w tym rejonie radzieckich oddziałów partyzanckich, przyjeżdżają na rozmowy dowódcy oddziałów polskich.

Generał opowiada o tym wszystkim i dodaje:

— Miałem pełne ręce roboty, ale do dziś Ruda Różaniecka pozostała mi w pamięci głównie ze względu na pewien zabawny przypadek jakiego mi się tu przydarzył.

A było to tak. Gospodarze, u których kwaterowałem, państwo Józefczykowie mieli maleńką ców-

reczkę Irenkę. Właśnie sterczałem nad rozpostartą na stole mapą i zastanawiałem się nad szczegółami dalszych poczynań, gdy w pewnej chwili podniosłem głowę i spojrzałem na dziewczynkę. Duże, dziecięce oczka patrzyły na mnie bez obawy i z widocznym zainteresowaniem.

Małą ciekawiła na pewno moja potężna broda, ale mnie przypomniał się mój syn, w tym samym co i dziewczynka wieku, jego maleńkie oczka, kiedy żona przywiozła mi go na pożegnanie w 1942 roku na lotnisko przed moim odlotem na tyły wroga. Rozczuliłem się, wzięłem Irenkę na ręce i zabrałem ją, przechadzałem się z nią po izbie. Oczarowała ją moja broda i z zapalem gmerała w niej maleńkimi paluszkami.

Po chwili znów wróciłem do stołu i trzymając w dalszym ciągu dziewczynkę, wolną ręką odmierzałem odległość, zastanawiając się jednocześnie, co też czeka nas w dalszym marszu. I nagle nastąpiła katastrofa.

Na rękę kapnęło mi coś ciepłego i całą fontanną przysnęło na mapę w miejscu, gdzie tak pracowicie wyrysowaliśmy naszą marszrutę. Dziewczynka bynajmniej tym nie przejęta w najlepsze targata za brode, a ja zrozpaczony i oszołomiony spoglądałem na mokrą i rozmazaną mapę.

Szyby samochodu aż drżą od naszego śmiechu, a generał mówi dalej:

— Zabawna przygoda, drobiąz, ale musicie zrozumieć, że ta, jak i wszystkie inne wizyty w domach prostych wiejskich ludzi działały

W GODZINACH południowych wszystko wskazywało na to, że przedstawienie „Medei” w wykonaniu zespołu Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej z Rzeszowa zostanie odwołane. W przeddzień zakupiono tylko 20 biletów. — Panie, któż by grał dla takiej garstki? Nie oplaca się! — Informował organizator widowia. Z dalszej rozmowy wynikało, że od teatru ogół domaga się wyłącznie sztuk lekkich, na których można się pośmiać.

Dyskusja toczyła się w Wydziale Kultury Prez. PRN w Łańcutcie. To oklepane powiedzonko z cyklu „Ludzie chcą się bawić i tylko bawić” wzbudziło we mnie niejedną wątpliwość. Przyczyn słabej frekwencji jest wiele. A główną chyba — stała reklama. Przechodziłam ulicami miasta i na jednej tylko tablicy ogłoszeniowej zauważyłam mały, niepokazny afisz rzeszowskiego teatru. Być może, że było ich więcej, ale

stopnia licznego w samym Łańcutcie, a tylko jeden znajduje się w tak zwanym terenie, w Zolyni. Sieć „uniwersytecka” uzupełniają wiejskie punkty odczytowe TWP. Gwoli sprawiedliwości, do placówek oświatowych musimy dodać 3 kina oświatowe, z których jedno mieści się w Rakszawie, a reszta znów w Łańcutcie. Do końca roku zostanie otwarta jeszcze jedna tego typu placówka, ale również w stołecznym mieście powiatu, w zamkowej oranżerii. Również sieć kin jest daleko niedostateczna. 7 kin stałych i 1 objazdowe na pewno nie pokrywają zapotrzebowania społecznego na film. O ironio! Na film, który jest uznawany za najbardziej dostępną rozrywkę. Bazą dla kin oświatowych obok świetlic wiejskich są często kluby-kawiarnie. No cóż, Łańcutkie może się poszczycić na razie tylko jednym w Soninie. Wkrótce ma być otwarty drugi w Krzemienicy.

Efekty jednak są!

nie przyciągały przechodnia. Dalszych przykładów obalających wywody organizatora nie trzeba było daleko szukać. Na przykład: W ub. roku odbył się w Łańcutcie popis kilku zespołów amatorskich, które przedstawiły obrzędy weselne swoich wsi. Pokaz trwał 6 godzin, a sala przez cały czas wypełniona była do ostatniego miejsca siedzącego i stojącego. Tak więc, jak zwykle prawda tkwiła pośrodku. Biedne byłoby także sądenie, że zainteresowania artystyczne mieszkańców Łańcuta i jego okolic kształtują się pod wpływem środowiska rzeszowskiego. Można raczej zaryzykować twierdzenie, iż Łańcut leży daleko od wojewódzkiego miasta, a swój poziom kulturalny rozwija zapatrzony wstecz, w swe bogate tradycje ludowe. Czy to źle? Najważniejsze są na pewno efekty tej pracy.

Łańcut nie ma powiatowego domu kultury, nie ma również poradni kulturalno-oświatowej. Ma natomiast zapalonych, nawet upartych działaczy kultury i oświaty. Dzięki ich staraniom organizuje się Muzeum Regionalne Ziemi Łańcutkiej.

Niemalże wysiłków i kosztów pochłonęła organizacja bodajże jednego w swoim rodzaju Muzeum Judaistycznego. Mieści się ono w starej synagodze, zbudowanej w XVIII wieku z funduszy księżnej marszałkowej Lubomirskiej. Tak więc Łańcut szczyć się będzie 4 muzeami. Ochrona zabytków, tworzenie muzeów — czyni piękne i pożyteczne, ale towarzyszyć im musi troska o kulturę na co dzień i rozwój powszechnej oświaty. O tym zadaniu pamiętają działacze chociaż niejednen ugór pozostał do zaozrania.

Powiat łańcutki tworzy 30 wsi skupionych w 16 gromadach. Dotychczas powiat może poszczycić się tylko 8 uniwersytetami powszechnymi i 3 uniwersytetami dla rodziców, działającymi przy 2 szkołach

Jednak mieszkańcy powiatu łańcutckiego pozbawieni jeszcze wielu uroków świata cywilizowanego żyjącej się w amatorskich zespołach artystycznych. 18 zespołów teatralnych, 6 tanecznych, 8 kapel ludowych plus 22 różnego typu zespoły muzyczne świadczą o szerokim rozwoju ruchu amatorskiego, niemając że o jego powszechności. Popularnością cieszą się również konkursy recytatorskie. Zwykle do eliminacji powiatowych staje około 100 młotników żywego słowa. Z eliminacji wojewódzkich, a nawet ogólnopolskich kandydaci łańcutcy wracają prawie z reguły z wyróżnieniami i nagrodami. Zdobywca pierwszego miejsca w kraju (1959 r.) Marian Zachoszczyk jest jednym z filarów zespołu teatralnego „Lutnia” z siedzibą w Łańcutcie. Zespół ten pracujący już ponad 16 lat ma na swym koncie 60 premier i kilkadziesiąt przedstawień w różnych ośrodkach powiatu, województwa i w niektórych miastach Polski, uznany jest za najlepszy zespół Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych. Jego reżyserzy Michałina Bartoszyńska, Danuta Fangor i Antoni Sobolewski należą do najpopularniejszych postaci Łańcuta.

Cenna zaleta ruchu amatorskiego w pow. łańcutkim obok masowości jest jego powiązanie z twórczością ludową. Powstało pewnego rodzaju dobre współzawodnictwo między zespołami w utrwalaniu niektórych tradycji. Na przykład już osiem środowisk opracowało i przygotowało w formie widowisk obrzędy weselne obowiązujące w różnych okolicach ziemi łańcutkiej. Własne widowiska posiada Krzemienica, Kraczkowa, Wysoka, Wola Dalsza, Budy Łańcutkie, Brzoza Stadnicka i Białobrzegi, a obecnie nad przygotowanie wesela w Husowie pracuje 63-letni muzyk wiejski Władysław Lenar.

M. G.



Ruda Różaniecka. Wł. Ważny, który przed 18 laty przeprowadzał partyzantów Werszyhory do Lublińca i Zamchu, w rozmowie z generałem.

na nas odprężająco. Byliśmy przecież w ciągłym marszu, w ustawicznych mniejszych i większych utarczkach z wrogiem. Wszystko to powodowało specyficzną, pełną napięcia atmosferę. Rozmowy z ludźmi, takie właśnie humorystyczne przypadki wracały nam na moment spokój, atmosferę normalnego, codziennego życia, zbliżyły do ludzi. Ale oto i Ruda Różaniecka... — Ot zdzień, w etom domie była moja kwartira...

Samochód staje i już po chwili jesteśmy otoczeni przez gromadę

mieszkańców wsi. Ludzie z miejsc poznają generała. Ktoś biegnie po Józefczyków i za chwilę przychodzi oboje.

Generał wita się z gospodynią, całuje serdecznie z gospodarzem. Są tu i byli partyzanci, którzy współdziałali z pododdziałem Werszyhory i przewodnicy odprowadzający następnie zgrupowanie na zachód. Ze strzępów rozmów, gorączkowych wspomnień wylania się obraz

(Dokończenie na str. 4)

RULETKA - czyli myśli o szatniarzu

Ostatnio w cocktail — barze mlecznym spędziłem kilka czarownicych godzin na oglądaniu szatniarza. Mocarny ten mężczyzna siedział w koju i patrzył w dal, tylko od czasu do czasu przeciągał się i wtedy trzeszczały szwy jego chałatu. Zrazu mniemałem, że oglądanie szatniarza nie zajmie mi więcej, niż kwadrans. Potem jednak godzina biegła za godziną, a ja znajdowałem w tym coraz to nową przyjemność. Oto widziałem szatniarza jak buduje most. Prawą ręką unosi jedno przesło, lewą drugie. Nic to, że w tym momencie w rzeczywistości wnosił tylko plastikowe deszczowce... Potem widziałem go dmuchającego w wielki piec dla przyspieszenia spustu, z ręki na lewarze, z nogą na łopacie, od której to nogi wykop pod fundamenty w trzy minuty zieje przepaścią i tak naogładaliśmy się pełnometratżowego produkcyjniaka w wielu seriach.

Potem sobie pomyślałem, że gdyby szatniarz robił rzeczywiście coś z tych rzeczy, w szatni mogłoby zasiąść ze trzech emerytów i na trzy zmiany podawać pałta. Każdy kto lubi oglądać starszków, chętnie by tu wpadł na cocktail z miodu, jaja, malin i śmietanki i wcale by go to nie młótało.

Zbyt długo normalny człowiek nie myśli o bliźnich. Albo sobie teoretyzuje, albo myśli o sobie. I z mną było podobnie. Skonstatowałem: prawie co drugi wymyślony przez ludzką ideal jest do urzędywania, ale nie ten: „Właściwy człowiek na właściwym miejscu”. Ideały bowiem urządzają ludzką w ogóle, człowieka jako zbiorowość. A tu, i tylko tu, trzeba każdą jednostkę wyłuskać z osobna, zmierzyć, zważyć, wypróbować. I chyba nigdy etapem na drodze do ogólnego szczęścia nie stanie się sytuacja, w której każdy pracuje, gdzie należy. Bo w końcu co ja wiem o sobie? A może moim majsterskim przeznaczeniem jest gra na skrzypcach? Kopanie rowów? Neurochirurgia, korekta, polityka lub szoferka? A może lepszy byłbym jako przedmiot: korkociąg lub balon stratosferyczny?

W końcu każdy człowiek czyta się zawodu, jakiego mama chciała, czy dli tego, że taka właśnie szkoła była blisko, albo dlatego, że do któregoś innego się nie nadawał. Pracuje zaś tam, gdzie mu wypadło. Jest niesprawdzone i niesprawdzalne. Ponięważ prawdopodobieństwo trafienia do odpowiedniego zawodu, w nim zaś na największe stanowisko jest tylko prawdopodobieństwem. Przyjąć wypada, że trafionych nie jest dużo.

Przyjęcie mojego szatniarza do pracy wedle tej najprawdopodobniejszej z możliwych ewentualności wyglądało tak: personalnik od mleczno-cocktailowych interesów potrzebował człowieka do wieszania płaszczy, przyszedł człowiek chcący wieszac płaszcz i został przyjęty, mimo że w tym momencie świat może tracił Paganiniego, a na pewno budownictwo borykające się z brakiem kadr — pogromce betoniarki. Ewentualny interes ogólnospołeczny konkretny nie jest przecież brany w rachubę przy przyjmowaniu do konkretnej pracy. Z deficytu młodych, silnych mężczyzn agronomów, czy geologów w ogóle nie wynika dla personalników i innej branży. Ingerencja państwa, jako reprezentanta społecznego interesu, nie istnieje w tej mierze na rynku pracy. Tu każda jednostka ma świętą swobodę zasiedlania w szatni i w ogóle trafiania w życie zawodowe jak kulka puszczona na kręcącą się ruletkę.

Specje siedzą i obliczają, ile i gdzie czego w Polsce zmarnotrawiono: maszyn, surowców, czasu i atlasu. Ale ilu zmarnowało się ludzi? Ile talentów? Tego obliczyć nie można. Bo nawet wzięwszy Holoubka nigdy nie wiadomo, czyby z niego nie był wirtuoz ringu, albo geniusz konstrukcji stalowych. Rejestrować można tylko tych, którzy siedzą na widoku i zajmują na tym widoku nie swoje miejsce. Ale które jest ich? I kto ma to ustalać?

Najsmutniejsze w naszym życiu jest wszakże to, iż rozważania podobno taki mają skutek, że przejeżdżając nimi obywateli biorą i wylewają z pracy jakiegoś szatniarza, który to potem do końca życia, siedząc w innej szatni, дума, jaka to klika wygryzła go i dla którego pociotka.

J. Rem



Rys. J. Sienkiewicz
Franciszek Sułder — rzeźbiarz - amator

Nowa premiera filmowa w klubie „Rzech”

Zaczął się przed kilku laty od tego, że do WSK trafiła przez pomyłkę czechosłowacka kamera filmowa „Pentaflex”. Początkowo nie wiadomo było co z nią począć, później znalazło się kilku ludzi, którzy zainteresowali się „co z tym można zrobić”.

Dziś istniejący przy DK WSK w Rzeszowie amatorski Klub Filmowy „Rzech” ma już na swoim koncie kilka filmów krótko- i średniometrażowych oraz 3 nagrody na różnych konkursach filmu amatorskiego (m. in. II nagrodę na tegorocznym festiwalu filmów amatorskich, organizowanym w Bielsku przez ZZ Metalowców).

W ubiegłym tygodniu „Rzech” wystąpił z nową premierą. Licznie zgromadzonym w DK WSK go-

ściom pokazano kolorowy reportaż „Bieszczady wczoraj i dziś” całkowicie, tj. wraz z udźwiękowieniem zrealizowany przez członków klubu.

Reportaż ten jest poważnym osiągnięciem „Rzecha”, świadczącym o coraz lepszym opanowaniu niezwykle trudnej sztuki filmowania i rokującym nadzieje na przyszłość. Szczególnie duży krok naprzód zrobiono w dziedzinie zdjęć i montażu (wyeliminowanie wszelkich drgań kamery, lepsze wykorzystanie światła, zlikwidowanie długich, szarych ujęć), dobrze wywiązał się także z zadania reżyser.

Film opowiada o Bieszczadach, ziemi zniszczonej przez wojnę i czas, pustej i głuchej, o ludziach, którzy przywracają ją życiu, pokazuje rozmach bieszczadzkiego budownictwa, piękno krajobrazu, coraz większy ruch turystyczny na tym terenie.

Laik nie bardzo zdaje sobie sprawę z tego, jak czołowo i pracowicie jest realizacja filmu amatorskiego, tym bardziej, gdy jest to film barwny, nastrojający wiele dodatkowych trudności. Członkowie klubu „Rzech” przeznaczają na nią cały swój wolny czas po pracy, a nawet urlopy. Jednak w przypadku „Bieszczadów”, czas ten dobrze wykorzystano. Wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego filmu, składamy na ręce jego reżysera, Jerzego Olmy, i jego dwóch najbliższych współpracowników: Tadeusza Piotrowskiego i Bronisława Durdy, serdeczne gratulacje.

(w. sz.)

WIDNOKRĄG odpowiada

Ob. M. G. Lętównia. Nie skorzystamy. Pisze Pan byle co, aby dziwnie i nieogólnie i sądzi, że to poezja. Np. „Jycie wydatne erze czasu, puszczone torem dni pod parasolem przykrytej karty gdzie wita je semafor...” itd. Ani w tym nie ma rymu, ani obrazu, ani myśli.

Ob. A. S. Przemysł. Odpowiemy li: stownie tylko prosimy o trochę cierpliwości.

Ob. J. M. Rozwadows. To co Pan pisze, to nie są utwory poetyckie, lecz rymowane stwierdzenia najbardziej

oczywistych faktów. Tak jest w wierszu „Siarka”, czy „Algieria”. A przeciwko poezji wyraża jakies stany emocjonalne, ukazuje osobisty stosunek poety do świata. Wiersz „Słowo komunisty” jest inny, lecz również zły. Używa Pan wyartych frazesów, które przez częste użycie straciły wartość uczuciową, mimo iż miały wyrażać pasję autora. Cytuję... „ucisnione narody... zbrojna przemoc... Jarzamo kapitał... bat majemnego żołdaka”. Nie tędy droga.

„Zdana Z”. Wiersze, które otrzymaliśmy są bardzo słabe, naiwne i nieporadne językowo. Może najlepszy z nich to „Spacer”. Jest w nim zarys pomysłu poetyckiego, jakiejś nikłej koncepcji. Pozostałe są zwykłym „opisywactwem”, wierszowanym, robionym dlatego, by było „poetycznie”. Trzeba czytać więcej współczesnej poezji, by wyzbys się anachronistycznej idylliczności na rzecz treści intelektualnych.

II rajd polski generała Werszyhory

(Dokończenie ze str. 3)

wypadków, jakie rozegrały się tu przed 18 laty.

W Rudzie Różanieckiej znajdował się pałacyk zajmowany przez niemieckiego obszarnika barona Wartmanna, w którym stacjonowało blisko 500 żołnierzy Wehrmachtu. Nocne wystrzały w Lublińcu napędziły im sporo strachu — no, bo jakże! Tu na dalekim zapleczu artyleria? Jaka, skąd?! W dodatku kiedy wysłany w kilka godzin po zamknięciu strzałów silny patrol przyniósł 9 trupów z załogi Lublińca i wieść o jakichś poważnych siłach Armii Czerwonej, wybuchł popłoch. We wsi pojawiły się patrole wypędzające ludzi do kopania okopów. Pałacowy garnizon gotował się do obrony. Jednocześnie wyrwano z chałup kilku chłopów i zakazano im iść do lasu zorientować się w sytuacji.

Lepiej trafić Niemcy nie mogli. W wystanej grupie znalazło się kilku miejscowych partyzantów AK i ci nie tylko poinformowali kowpalców o sytuacji w Rudzie, ale sobie znanymi ścieżkami podpro wadzili ich do Niemców. Uderzenie, choć wykonane tylko przez jeden batalion było tak silne, że Niemcy bez tego przerażenia i zdezorientowani rozpierzchli się w popłochu. — O, uciekali przez pola jak zające — przypomina sobie Władysław

ław Ważny. W kożuchach ciężko im było, więc wyrzucali kożuchy, karabiny, nawet czapki gubił. Takeście dali im bobu! —

— No, no — śmieje się drugi chłop, jeden nie uciekał. Pamiętam, został gdzieś z boku i opłupiały walił z karabinu maszynowego gdzie popadło. Ze strachu nie widział co się dookoła dzieje. Partyzanci już we wsi, a ten strzela i strzela. No i wtedy jeden z waszych, panie generale, podszedł do niego z tyłu, złapał za kołnierz, podniósł do góry i powiada: no, chwytaj, chwytaj swołocz. Niemiec postawił oczy w stęp i... posiwał z miejsca.

— A pamięta pan, panie generale, jakżeście ten samolot strącili? Ten wielki, jak mu tam „Gigant”?

— Pamiętam, ale myśmy tu nad Polską 5 sztuk tych ptaków z czarnymi krzyżami zestrzelili...

— No, tak, ale u nas był chyba największy. Taki gmach! Jak się tylko pokazał, kto żyw, zaczął walić do niego z czego popadło. Myśmy się nawet śmiać zaczęli, bo co to robi z pepeszy samolotowi. A tu patrzymy — samolot kiwnął się, zakolysał i zaczął dymić. Upadł pod Suścem koło tartaku...

— No, tak, ale to było jak oni tu drugi raz przyszli...

— A może pamiętacie generale, jak odchodziliście; prowadziłem was do Lublińca, do Zamchu...

— A jak myśmy z waszymi na tych banderowców do Gorajca chodzili...

Krzyżują się w powietrzu pytania, wspomnienia, nazwy wsi, nazwiska ludzi. General odwiedza dom Józefczyków, potem znów wycho-

dzi do stale rosnącego tłumku i pyta pani Józefczykowej.

— No, a gdzież jest ta Ircia, ta maleńka córka wasza, co mi takiego psikuska zrobiła... I opowiada całą historię.

Tymczasem Ircia, którą ktoś zawiadomił wcześniej, właśnie nadchodzi. Rozbawieni ludzie dogadują i młoda dziewczyna czerwieni się jak pitwonia. Wita się z generaliem, który nadziwił się nie może: ho, ho, ale z ciebie panna wyrosta! To i kawalerów pewnie masz?

— Żeby tylko jednego! Tego tu nie brakuje, — nie traci rezonu Ircia.

— No, a pamiętasz, że ty mnie trochę, co?

— Oj, co ja mogę pamiętać. Ty ciusia byłam...

— No, patrzcie, teraz to nie pamięta, ale wtedy to dobrze ci było brodę targać i nad wojskową mapą figle płatać... Oj ty, ty... Ale jak tak, to ja ci muszę coś zostawić, żebyś pamiętała...

Werszyhora podchodzi do samochodu, wyciąga z kieszeni płaszcz jakies pudeleczko i po chwili na rękę zdziwionej, zakamienionej i uradowanej panny pojawia się śliczny, maleńki zegarek.

— No, to teraz nie zapominaj...

Ludzie klaszczą w dłonie, wszyscy mówią coś, czego nie sposób zrozumieć, podchodzą do generala, całują się, każdy chce zamienić z nim choć parę słów. Nasz przewodnik z trudem wyciąga go z gromady, tłumacząc, że jeszcze kilka wsi i wiele kilometrów przed nami, a pora już późna. Jeszcze tylko wspólne zdjęcie z rodziną Józefczyków, jeszcze kilka pożeg-

Zdarzenia TYCODNIA

W ubiegłą niedzielę w Muzeum Okręgowym otwarto wystawę malarstwa i rysunku znanych artystów rzeszowskich Heleny Majewskiej, Jerzego Majewskiego i Zdzisława Ostrowskiego. Na ekspozycję składa się łącznie 97 prac. Organizatorem wystawy jest Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie. Warto dodać, że po obejrzeniu wystawy zaproszeni goście uczestniczyli w dyskusji na temat współczesnego malarstwa polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości miejscowego środowiska plastycznego.

25 bm. rozpoczął się w Budepceszcie Festiwal Muzyki Kameralnej, który trwać będzie do 3 października br. W przeglądzie — jako obserwatorzy — biorą udział przedstawiciele świata muzycznego. W skład polskiej delegacji wchodzi dyrektor rzeszowskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej Józef Maroń. Doświadczenia węgierskie mogą się przydać do organizacji III Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie.

Koncerty Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej w Rzeszowie na rzecz Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stoicy zostały już do tradycji tej placówki. W ubiegłą środę 25 bm. odbył się kolejny koncert. Na program złożony się m. in. utwory kompozytorów francuskich, hiszpańskich i polskich, które wykonał: Halina Adamska, Krystyna Mathels-Domaszowska, Maria Bańdur, Lubomila Bukowska, Jan Federowicz, Andrzej Konarzewski i Stefan Ząbek.

Katalogi Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łańcucie wykażują 37.000 tytułów. Księgozbiór jak i zestaw periodyków i prasy codziennej cieszą się niemałym powodzeniem u mieszkańców Łańcuta. Dowodem tego jest chociażby i to, że z czytelnik, posiadającej 18 miejsc korzysta przeciętnie 30 osób dziennie. Wśród stałych bywalców dominuje młodzież szkół średnich i osoby studiuje zaochone. Ale run na bibliotekę rozpoczyna się zwykle tuż przed uroczystymi obchodami rocznic, których w okresie obchodów Tydzieńca szczególnie dużo się zebrało. Aby ułatwić pracę sobie i zainteresantom, z początkiem br. biblioteka zorganizowała dział informacji i bibliografii. Tworzy go kilkanaście poddziałów, obejmujących m. in. materiały referencyjne z dziedziny literatury i życia pisarzy, z problematyki Tydzieńca, zagadnienia aktualne i inne.

Równocześnie z działem informacji zorganizowano dział regionalny. Jego kartoteka obejmuje wszystkie wydawnictwa książkowe poruszające sprawy Łańcuta i powiatu oraz wycinki z prasy polskiej od 1945 r. Dział regionalny wzbogacił się ostatnio o 2 cenne pozycje, mianowicie pracę Tadeusza Sinki pt. „Historia religii i filozofia w romansie J. Potockiego” oraz książkę „Jan hr. Potocki i jego podróże do Chin”, wydaną w 1938 r. w Wilnie.

W trosce o jak najszybsze udogodnienie nowości wydawniczych, łańcucka biblioteka prowadzi również stałą informację o bieżących zakupach książek Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie. Jest to ogromne ułatwienie dla czytelników poszukujących nowości i osób kształcących się.

dowódca. Słońce grzeje mocno i na twarzy Werszyhory pojawia się maleńka kropelka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to z gorąca, ale odkąd to pot pojawia się na policzku i to tuż pod okiem, gdy czło jest suche?

(Dokończenie nastąpi)

W. SZYMZYK

Irena Józefczyk w 1944 roku, kiedy general Petro Werszyhora kwatrował w domu jej rodziców, miała zaledwie kilkanaście miesięcy i nie bardzo przypomina sobie jego pobyt. Drugą wizytę generala będzie jednak z pewnością pamiętać.

Fot. M. Kopeć

